



BIULETYN

KOŁA MIŁOŚNIKÓW DZIEJÓW GRUDZIĄDZA
KLUB „CENTRUM” SPÓŁDZIELNI MIESZKANIOWEJ



Rok XX: 2022

Grudziądz, dnia 16.11.2022 r.

Nr 32 (756)

1300. spotkanie

Julia Nehring

Halina Frąckowiak-Kleszowska

Trudny okres okupacji i pierwsze lata powojenne we wspomnieniach pani Julii Nehring

Niniejszy biuletyn poświęcony jest wieloletniej, aktywnej uczestniczce spotkań Koła Miłośników Dziejów Grudziądza pani Julii Nehring z domu Wyszynskiej.

Urodziłam się 3 kwietnia 1933 roku w małej wiosce Wyszonki – Posele, położonej w gminie Piekuty Nowe, powiat Wysokie Mazowieckie w województwie białostockim. Obecnie wieś znajduje się na terenie gminy Szepietowo w powiecie wysokomazowieckim w granicach województwa podlaskiego. Przyszłam na świat jako czwarte dziecko Anny (z domu Wyszynska) – przydomek Ulijas i Józefa Wyszynskiego – przydomek Malej. Nadawanie przydomków było konieczne z tego względu, że nie tylko moja rodzina legitymowała się takim nazwiskiem. Po przyjściu na świat młodszych ode mnie bliźniąt nasza rodzina składała się z dziewięciorga osób.

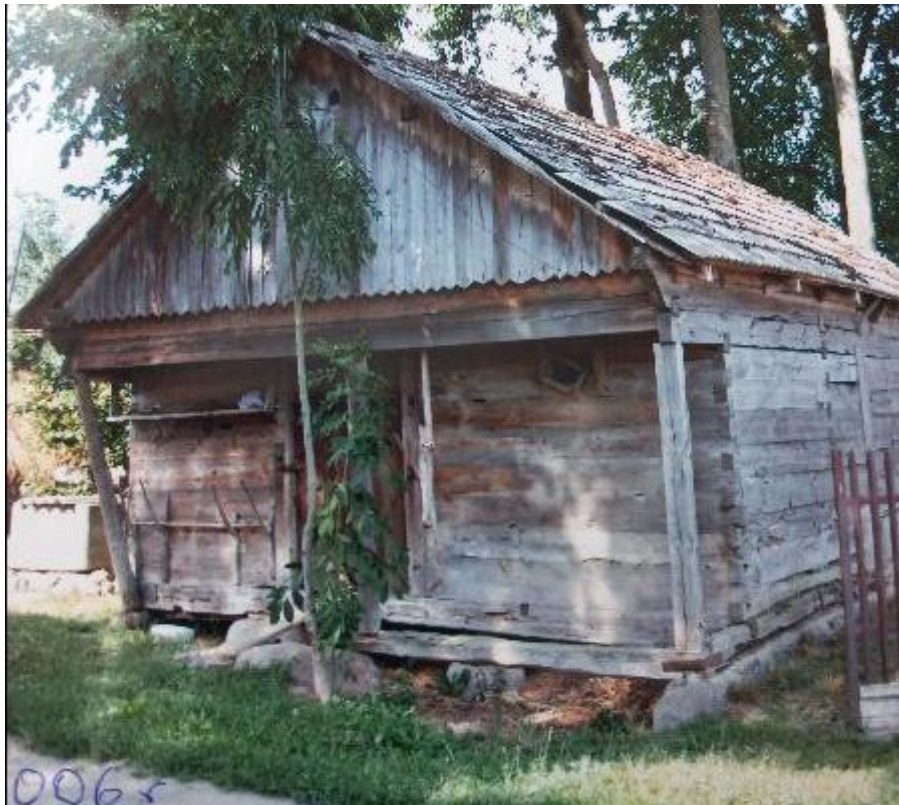
Dom, w którym mieszkaliśmy był typowy dla zabudowy wschodniej części II Rzeczypospolitej.



Zdjęcie ze zbiorów Julii Nehring.

To jedyne zachowane zdjęcie domu. Dom składał się z sieni, kuchni, dużego pokoju i mniejszego, służącego za sypialnię, nazywanego alkierzem. Taką też funkcję spełniał strych. Podłoga w sieni i kuchni wyłożona była ceglami, natomiast w pozo-stalych pomieszczeniach deskami.

W tym małym domu mieszkało łącznie jedenaścioro osób. Oprócz mojej najbliższej rodziny przebywały tam na stałe dwie siostry mojej mamy: Antonina i Stefania, będące współwłaścicielkami 15 hektarowego gospodarstwa. W pobliżu domu znajdowały się zabudowania gospodarskie i niewielki spichlerz.



Zdjęcie ze zbiorów Julii Nebring. Stan 2006 r.

Tata zajmował się uprawą roli, a opieka nad inwentarzem żywym spoczywała na mojej mamie i ciotkach. W skład inwentarza wchodziła trzoda chlewna, drób, pięć – sześć krów oraz dwa – trzy konie

Nasza wioska liczyła 14 gospodarstw.

W moim domu rodzinnym panowała atmosfera miłości i wzajemnej życzliwości. Nigdy nie zaznałam głodu i biedy, chociaż do stołu zasiadało jedenaście osób. O pożywne posiłki troszczyła się mama, a o garderobę dbała ciocia Stefania, która była krawcową.

Mój świat, jak wielu milionów ludzi legł w gruzach pamiętnego dnia 1 września 1939 r. Widziałam samoloty, słyszałam strzały, jednak wojska niemieckie nie dotarły do naszej wioski. Pamiętam, że po kilku dniach pojawili się polscy

żołnierze, którzy zakwaterowali się między innymi w naszym domu. Na tę wyjątkową okazję mama ubrała mnie w odświętną sukienkę, a we włosy wpięła kokardę. Po krótkim odpoczynku żołnierze odeszli kierując się na wschód na Łapy – Białystok. Byłam zbyt mała, żeby zrozumieć płacz mamy żegnającej naszych żołnierzy.

17 września z samolotów zrzucono ulotki w języku polskim informujące, że żołnierze sowieccy idą nas bronić, bo jesteśmy Białorusią. Po pewnym czasie wojska rosyjskie zajęły wieś Wyliny – Ruś położoną na terenie naszej gminy.

Wspomnienia pani Julii pozwoliłam sobie uzupełnić – faktami historycznymi, których ona wówczas nie знаła.

Pierwszą decyzją, podjętą przez Sowietów, dotyczącą zajętych ziem było przygotowanie wyborów do Zgromadzeń Ludowych Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy. Tak bowiem w języku komunistycznej propagandy nazywano wschodnie województwa Polski. „Wybory” odbyły się 22 X 1939 r. i w rzeczywistości miały przymusowy charakter. Zgodnie z wynikami podanymi przez władze sowieckie frekwencja wyborcza wynosiła blisko 95% uprawnionych do głosowania, z czego 90% poparło kandydatów do obu zgromadzeń, które w końcu października 1939 r. zwróciły się z prośbą do Rady Najwyższej ZSRR o przyłączenie do Związku Sowieckiego, na co wyrażono natychmiastową zgodę. Konsekwencją tego faktu było narzucenie wszystkim mieszkańcom obywatelstwa sowieckiego.

Do naszej wioski wkroczyli żołnierze radzieccy. Oficerowie zakwaterowali się w domach gospodarzy, a szeregowych żołnierzy rozlokowano w pobliskim lesie. W naszym domu zamieszkał oficer Afonazy Wasilew, zajmując alkierz, przez co moi bracia zmuszeni byli do spania w stajni, a ja wraz z siostrą na strychu. Po pewnym czasie oficerowie sprowadzili swoje rodziny. Do Afanazego Wasilewa przyjechała narzeczona o imieniu Marusia.

W sąsiednich domach było znacznie tłoczniej, ponieważ oficerowie sprowadzili żony – wraz z dziećmi. Jedno z dzieci, dziewczynkę o imieniu Ałoczka poznałam bliżej i obie bardzo polubiłyśmy się. Uczyla mnie piosenek rosyjskich, tekst jednej z nich pamiętam do dzisiaj. Próbowałam nauczyć ją wiersza „Kto ty jesteś? Polak mały”, ale Marusia kategorycznie zabroniła uczenia się po polsku tego wiersza.

Pomimo wojny nasze życie codzienne upływało na wykonywaniu tych samych czynności, z tą różnicą, że w pracach polowych tacie pomagali moi starsi bracia. Rodzice, poza płaceniem podatków zobowiązani byli oddawać znaczną część produktów rolnych do urzędu.

Żołnierze sowieccy „zakwaterowani” w lesie mieli swoją kuchnię polową. Posiłki przygotowywali z ukradzionych krów, świń i owiec. Nigdy ich nie widziałam, poza jednym, który codziennie przyjeżdżał po oficera Wasilewa. Zdarzało się, że czasami przywoził nóżki, z których mama robiła galarete, bądź gotowała zupę.

Pamiętam, że bardzo rzadko mieliśmy cukier, sól. Co prawda sklep znaj-

dował się w sąsiedniej wsi Kostry – Noski, ale mama często wracała bez zakupów. Rosjanie natomiast mieli „swój” sklep w Szepietowie oddalonym o 6 km od naszej wioski.

Jeden incydent utkwił mi szczególnie w pamięci. Pewnego dnia moja siostra po powrocie ze szkoły białoruskiej powiedziała, że pewna kobieta sprzedaje dzieciom cukierki. Dostałyśmy od rodziców trochę rubli i przez zamarznąłą rzekę Miankę poszłyśmy do szkoły. Kobieta zapytała: „Czyje wy?” Odpowiedziałyśmy, że z Wyszonk – Posel od Wyszyńskiego. Cukierków nam nie sprzedawała, twierdząc, że tata jest kulakiem – bogaczem. Tak się złożyło, że po wojnie ta sama ekspedientka pracowała w sklepie w Szepietowie i robiąc zakupy przypomnieliśmy tamtą sytuację.

Sowieci zachowywali się tak jakby mieli zostać na naszych ziemiach na zawsze. Moje najmłodsze rodzeństwo otrzymało z Urzędu Gminy książeczki, na podstawie których rodzicom wypłacano trochę rubli. Niestety książeczki te nie zachowały się wśród pamiątek, zostały spalone w czasie ucieczki Sowieców – przed nacierającymi wojskami niemieckimi.

Pamiętam zsyłkę na Sybir w 1941 r. Widziałam stojące na szosie wozy z zesłańcami. Wszyscy płakaliśmy. Ze wsi Kostry – Noski wywieziono dwie rodziny: Niemyjskich (8 osób) i Wyszyńskich (5 osób). Po latach dowiedziałam się, że miejscem ich zsyłki był Omsk Gubernia Kolchoz Niżna Tawda 3 Uczastek. Nie wszyscy w 1945 r. powrócili do kraju (z rodziny Niemyjskich siedmioro, a Wyszyńskich troje).

Miałam 7 lat, kiedy rankiem 12 czerwca 1941 r. mama zauważyła olbrzymi czarny dym unoszący się nad stacją Szepietowo. W pobliżu miasta Wysokie Mazowieckie Sowieci mieli polowe lotnisko, a dym pochodził z palącej się benzyny. Mama obudziła oficera krzycząc: Komandir wojna! Początkowo nie uwierzył będąc przekonany, że to manewry wojskowe. Po chwili jednak wsiadł na konia i ruszył w stronę lasu, a po jego narzeczoną, będącą wówczas w zaawansowanej ciąży przyjechał wóz konny. Wszyscy płakaliśmy nie wiedząc co przyniosą nam kolejne dni.

Wojsko sowieckie, stacjonujące w lesie wycofało się na stację kolejową Szepietowo, a stamtąd pociągiem ruszyło w kierunku Białegostoku i dalej na wschód. Na stacji rozegrały się dramatyczne wydarzenia, które znam z opowiadań mamy. Będąca wówczas na stacji enkawudzistka szukała winnych, którzy jej zdaniem mieli udzielić Niemcom informacji. Wypędziła z poczekalni 9 osób, po czym strzelając im w tył głowy zamordowała.

Dla uczczenia pamięci pomordowanych postawiono pomnik z kamienia. Autorem projektu był mój brat Stanisław Wyszyński.



Zdjęcie ze zbiorów Julii Nebring.

Nasze życie zmieniło się, odeszli Sowietci, a my znaleźliśmy się pod okupacją niemiecką. Wszystkie szkoły zostały zamknięte, jednak moi rodzice chcieli abyśmy, pomimo tak trudnej sytuacji mogli kontynuować naukę. Tak szczęśliwie się złożyło, że mieszkający w sąsiedniej wiosce Kostry – Noski pan Edward Miętko podjął się prowadzenia zajęć lekcyjnych, które ze względów bezpieczeństwa odbywały się w różnych miejscach. Miałam kilka zeszytów, ołówek, a nawet obsadkę, stalówkę i atrament z chemicznego ołówka. W związku z tym, że nie mieliśmy elementarza, uczyliśmy się ze starych książek. Dostarczycielami tych pomocy naukowych byli moi bracia, którzy przynieśli książki z biblioteki szkolnej. Jedna z nich nosiła tytuł „Mały Piłsudczyk”. Po ukończeniu trzech klas otrzymałam świadectwo na kartce z zeszytu w kratkę.

„Niniejszym zaświadczam,
że Julia Wyszynska przerobiła program klas I, II, III.

Edward Miętko”.

Do naszego domu wraz z soltysem przychodzili żandarmii niemieccy ze

Szepietowa. Mój tata jako jedyny z naszej wioski znalazł trochę słów po niemiecku związanych z inwentarzem, które potrzebne były do ustalenia kontyngentu. Z opowiadań taty wiem, że w 1913 r. służył w wojsku carskim w Tumsku nad rzeką Tom, 70 km od jej ujścia do Obu i walczył na froncie wschodnim. W walkach pod Kaliszem dostał się do niewoli pruskiej i przebywał przez 3 lata niedaleko Kościerzyny.

Latem 1943 r. jako dziesięcioletnia dziewczynka przystąpiłam do I Komunii Świętej w Parafii Dąbrówka Kościelna. Trudne czasy okupacji uniemożliwiały zorganizowanie przyjęcia czy też obdarowywania prezentami.

O wydarzeniach, jakie miały miejsce 17 lipca 1943 r. nie potrafię mówić bez emocji. Wojsko niemieckie otoczyło wieś Krasowo – Cząski. Wszystkich mieszkańców spędzono do stodoły, wcześniej zmuszając mężczyzn do wykopania dwóch olbrzymich dołów. Natomiast gospodarzom z sąsiednich wsi nakazano przyjechać własnymi wozami, po czym cały zagrabiony przez Niemców majątek musieli przewieźć do stacji Szepietowo. Widziałam ten transport, dlatego, że szosa oddzielona była od naszej wsi małą rzeczką Mańką. Rozstrzelano 257 osób, w tym 83 dzieci poniżej siedemnastego roku życia. Do jednego dołu wrzucono mężczyzn, a do drugiego kobiety z dziećmi. Z tego koszmaru uratowało się dwoje dzieci. Dziewczynka, która mogła mieć 7 lat schowała się w zbożu, gdzie znalazł ją żołnierz niemiecki i kazał jej uciekać. Drugim uratowanym okazał się kilkunastoletni chłopiec, którego matka widząc zbliżających się do wioski niemieckich żołnierzy ukryła w zbożu. Słyszałam krzyki i rozdzierający serce płacz. Wieś została spalona, a kto ukrył się w swoich zabudowaniach gospodarskich spłonął. Poza tą dwójką dzieci uratowali się dwaj mężczyźni. Rodzice opowiadali, że ukryli się w maszynie do mlócenia zboża, którą Niemcy kazali przyczepić do furmanki i odstawić do Szepietowa.

Z udokumentowanych przekazów historycznych wiemy, że była to najkrwawsza pacyfikacja przeprowadzona przez Niemców na terenach przedwojennego województwa białostockiego, które po 1945 r. pozostało w granicach Polski. Zbrodni dokonano w odwecie za śmierć ośmiu żandarmów, którzy zgineli 12 lipca w potyczce z oddziałem AK w Krasowie – Wólce. To wyjaśnia fakt wypuszczenia ze stodoły dwunastoletniego pastuszcza, który był mieszkańcem innej wsi, a tym samym nie znajdował się na wcześniej przygotowanej liście.

W 1946 r. w miejscu kaźni Polaków postawiono kaplicę, której fundatorami byli miejscowi mieszkańcy oraz pochodzący z tej wsi ksiądz Józef Kaczyński.

Na przełomie 1943/1944 r. Niemcy nadal w ramach kontrybucji zabierali zboże, zwierzęta. Terror trwał nadal, czego przejawami były masowe mordy, palone wsie, zsyłki na roboty do Niemiec. Sytuacja uległa zmianie, kiedy Niemcy zostały zmuszone do wycofania z zajętych terenów pod naporem Sowietów.

Niemcy zajęli naszą wioskę, a na naszym podwórku postawili samochód – kucznę. Byłam z bliźniakami na dworzu i przeraziłam się, kiedy jeden z żołnierzy wziął moją małą siostrzyczkę na ręce. On jednak dał jej do buzi cukierka i zanucił kołysankę. Inny żołnierz dał mamie puszkę cukru, a za płotem w pokrzywy

wyrzucił dla nas kawał mięsa. Tym niemniej odchodząc zabrali nam trzy konie.

Mieszkańcy naszej wioski poza grabieżami nie doświadczyli innych form terroru. Zgola odmiennie przedstawiała się sytuacja w innych osadach, np. we wsi Składy – Borowe 11 sierpnia 1944 r. dokonano masowego mordu. Z rąk żołnierzy Wehrmachtu zginęło 21 osób, a budynki gospodarcze zostały częściowo spalone. Zamordowanych pochowano na cmentarzu w Nowych Piekutach.

Latem 1944 r. po wycofaniu się Niemców powróciły wojska sowieckie. Tak jak poprzednio oficerowie zajęli kwatery u gospodarzy. W jednym z domów otworzono punkt aptekarski, gdzie pracowały dwie pielęgniarki.

Nadszedł wrzesień i ku mojej ogromnej radości we wsi Kostry – Noski otworzona została szkoła. Był to parterowy, drewniany budynek, na którego tyłach znajdowało się mieszkanie kierowniczkii szkoły pani Kazimierzy Jańczuk. Zostałam zapisana do klasy czwartej. Nasza izba lekcyjna podzielona była na trzy rzędy ławek, w których zasiadali uczniowie klas IV, V i VI. Nauka przebiegała w ten sposób, że nauczyciel zadawał zadania do wykonania uczniom klasy czwartej, a tym czasie prowadził lekcje w piątej. Po zrobieniu swoich zadań przysłuchiwałam się temu, co mówi nauczyciel starszym uczniom. W ten sposób ukończyłam jednocześnie klasę czwartą i piątą. Świadectwo klasy szóstej miałam na tyle dobre, że dzięki zaangażowaniu nauczyciela pana Stefanowicza w czasie wakacji przerebiłam materiał klasy siódmej. Jako, że szkoła była zamknięta to przy sprzyjającej pogodzie uczyliśmy się na świeżym powietrzu, a w dni deszczowe w domu jednego z uczniów. Oprócz mnie w tych zajęciach brało udział jeszcze dwóch moich kolegów. Lekcje trwały zazwyczaj dłużej aniżeli w szkole. Pamiętam jak pewnego dnia „rozleciały” mi się jedyne sandały jakie miałam. Mojemu starszemu bratu Staszкови udało się je naprawić w taki sposób, że wykorzystał spód sandałów, a na wierzch przybił skrzyżowane paski z wojskowego plecaka, nad piętą wiązałam je sznurkiem. Jestem przekonana, że przeciętne współczesne dziecko nie jest w stanie sobie tego wyobrazić.

Zaświadczenie jakie otrzymałam od pana Stefanowicza stanowiło podstawę do przyjęcia mnie do Ośmioklasowej Szkoły Podstawowej w Białymstoku. Dalszą naukę kontynuowałam w Prywatnym Liceum Ogólnokształcącym w Wysokiem Mazowieckiem, które wówczas było miastem powiatowym. Szkoła do której uczęszczałam nie posiadała niestety internatu i musiałam zamieszkać na stacji. Warunki zarówno mieszkaniowe, jak i do nauki były bardzo trudne. W małej drewnianej chatce był tylko jeden pokój i kuchnia z przeznaczoną na przyrządzanie posiłków płytą ulepioną z cegły i gliny. W pokoju łącznie ze mną spało siedem osób. Studni nie było, więc po wodę do jedzenia i mycia chodziłam do sąsiadów.

Moja sytuacja „mieszkaniowa” znacznie poprawiła się, kiedy we wrześniu 1949 r. młodszy ode mnie brat Józef został przyjęty do klasy ósmej. Rodzice postanowili, że zamieszkamy u wujostwa (po uprzednim wyrażeniu przez nich zgody). Byłam szczęśliwa, pomimo że do szkoły musieliśmy iść polną drogą sześć kilometrów. Najtrudniej było zimą, kiedy drogę zasypał śnieg. Żeby było mi łatwiej

tata dał mi swoje buty z cholewkami. W każdą sobotę chodziliśmy do domu przemierzając dwanaście kilometrów, a wracaliśmy w niedzielę z jedzeniem na kolejny tydzień.

Pamiętam, że w budynku stojącym blisko naszej szkoły mieściło się UB. Pewnego dnia na przerwie patrząc przez okno zauważyłam, że wynoszony jest na deskach jakiś człowiek. Jeden ze starszych kolegów odciągnął mnie krzyżąc, że mogą mnie zabić.

W czerwcu 1950 r. ukończyłam dziesiątą klasę i złożyłam podanie do Państwowej Szkoły Laborantów Medycznych, dział elektroradiologii i fizykoterapii.

W 1952 r. otrzymałam nakaz pracy w grudziądzkim szpitalu i od tej pory moje życie związane jest z tym miastem, moim miastem.

(L.B.S.)

Redakcja: Tadeusz Rauchfleisch, Janusz Hinz. Logo KMDG wykonał Grzegorz H. Rygielski.